

KSIĘGA PAMIĄTKOWA WIELKIEJ WOJNY!

Dzieło to, wydane pod skromną nazwą **Kalendarza „Nowości Ilustrowanych” na rok 1916**, zawiera **ilustrowany zbiór dokumentów obecnej wojny i jej dziejów na ziemiach Polski**. Oprócz opracowanej systematycznie historii wydarzeń wojennych (wraz z chronologią), poszczególne działy „Kalendarza” dają tak w opisach, jak i w fotografiach, wyczerpujący obraz **zniszczenia w Polsce, polskiego tułactwa wojennego i działalności bojowej Legionów**.

Już tylko niewielka liczba egzemplarzy tego pamiątkowego wydawnictwa, które powinno znaleźć się w każdym domu polskim, jest do nabycia w Administracji „Nowości Ilustrowanych” po cenie:

1 kor. 50 h. za egzemplarz broszurowany, **2 kor.** za egzemplarz oprawny i **3 kor.** za egzemplarz w płóciennnej, ozdobnej oprawie.

Kronika tygodniowa.

Już trzecią z rzędu kronikę przychodzi mi rozpocząć od krakowskiej Rady miejskiej, nie dlatego jednak, bym ją tak bardzo kochał, albo może aspirował do jakiego fotelika w pałacu Wielopolskich, ale z tego powodu, iż teraz odbywa ona ciągle posiedzenia i zajmują się bardzo ważnymi sprawami, które aż się proszą, by je uwiecznić.

Doświadczony filozof powiedział, że rzeczy wielkie tworzą się pomału, nic też dziwnego, że i prezydium Wielkiego Krakowa konstituowało się też niezbyt pospiesznie.

Najpierw wybraliśmy sobie pana prezydenta i trzech wiceprezydentów, o czym zresztą już pisałem w poprzedniej kronice, na ubiegły tydzień zostawiono sobie decyzję, czy ma być jeden delegat Rady do prezydium, czy też więcej. Wyłonił się nawet wniosek, aby utworzono komisję prezydialną, złożoną z czterech członków prezydium miasta i ośmiu delegatów z łona Rady. Komisja ta w zastępstwie Rady miałaby załatwiać wszelkie sprawy nagłe, za takie przez prezydenta miasta uznane i Komisji przydzielone, co się jednakowoż ojcom Krakusowego grodu nie bardzo spodobało, łatwo bowiem zdarzyłoby się mogło, że zajmowanoby się tylko samymi bardzo nagłymi sprawami, wobec czego nastąpiłoby ograniczenie praw Rady miejskiej i przeniesienie przeważnej części jej kompetencji właśnie na ową Komisję prezydialną, pan prezydent zostałby zaś prawdziwym wielkorsządką rozszerzonego miasta Krakowa z władzą prawie nieograniczoną.

Kłócono się nad tym wnioskiem dłuższy czas, gdyż każdy z rajców chciał gwałtownie zostać panem delegatem, ostatecznie zdecydowano, że zostawi się dotychczasowego, pana Bandrowskiego, a nadto wybierze się jeszcze dwu, jednego z grona konserwatystów, drugiego z grupy rękodzielniczej, zwłaszcza, że pan Kosobucki tylko pod tym warunkiem zrzekł się kandydatury na fotel pierwszego wiceprezydenta, jeśli stanowczo, bodajby jako delegat, dostanie się do prezydium, które bez niego nie da sobie rady. Ponieważ tego rodzaju krótkoterminowy wymagalności musi być zaraz spłacony, stało się też tak, jak z góry już uplanowano i mamy obecnie prezydium w komplecie, uzupełnione trzema delegatami: Dr. Bandrowskim, Kosobuckim i drem Nowakiem.

Poza tem na tem samem posiedzeniu zajmowano się drugą bardzo ważną sprawą, mianowicie podwyższeniem rocznej pensji pana prezydenta z ośmiastu tysięcy koronek na dwadzieścia dwa. Wniosek motywowano ciężkimi czasami, drożyzną, oraz wszech-

stronnym rozwojem miasta od czasów ostatniej regulacji placu, co zawdzięczać należy niestrudżonym zabiegom Jego Ekscellencji. Zresztą prezydent rozszerzonego Krakowa objął też funkcję wójtów gmin przyłączonych, słuszną więc jest rzeczą i sprawiedliwą, by był za to odpowiednio wynagradzany. Ot, weźmy sobie za przykład choćby Dębinki. Dopóki były samoistną gminą, wójt tamtejszy pobierał rocznie sześćdziesiąt guddenów pensji w gotówce oraz w naturze jedną parę butów i jedno podszycie. Dziś, gdy ten wydatek odpadł (a buty teraz takie drogie!), kwotę tą, co reprezentacja kosztowała, należy pomnożyć przez liczbę gmin przyłączonych, a pokaże się, że wypadnie więcej, niż cztery tysiące koron, więc miasto na tym interesie nic nie straci, tylko jeszcze zarobi.

Podwyższenie pensji pana prezydenta miało obowiązywać według wniosku referenta od lipca ubiegłego roku, sprzeciwił się temu pan Jan Kanty Federowicz, proponując datę pierwszego sierpnia b. r. wraz z poprawką, że podwyższenie to ma się rozciągać i na następów. Wniosek powyższy z poprawkami przyjęli radcy, między którymi niema ani jednego, któryby nie aspirował do godności prezydenta, hucznymi oklaskami i uchwaliłi bez dyskusji.

Oprócz tego zajmowano się i sprawą pełnej dożywotniej emerytury dla prezydenta, ewentualnie jego żony, na wypadek jego ustąpienia (tak zwana „emerytura honorowa”) i pensją emerytalną dla jego żony i dzieci, w razie, gdyby, czego nie dać Boże, mieszkanie w Krakowie lub Bonarce chciał zamienić na Królestwo niebieskie.

Dyskusja nad tymi punktami porządku dziennego była bardzo ożywiona, co zaś najważniejsze, przeciw uchwaleniu występowali przeważnie krakowscy demokraci z pod znaku „Nowej Reformy”, ale na nic się to wszystko zdało, tak bowiem uchwalono, jak sobie tego z góry życzone. Gdy Ekscellencya dowiedział się, że na siedmdziesięciu dwu głosujących czterdziestu dwu oświadczyło się za przyznaniem mu pełnej dożywotniej emerytury, odechnął z ulgą i rzekł do siebie:

— No! Mam przynajmniej zaopatrzenie na stare lata... Ale to mi się należało...

Nad tem wszystkim radzono na tajnem posiedzeniu, na jawnem przyznano wszystkim trzem wiceprezydentom dotacye po dziesięć tysięcy koron rocznie, co interesowani z miłym uśmiechem przyjęli do wiadomości. Wniosek przyjęto bez dyskusji.

— A co będzie z delegatami? — zapytał ktoś z głębi sali.

— Sprawa jeszcze nie dojrzała, by się nad nią zastanawiać! — odparł spokojnie referent, złożył akta i zstąpił z trybuny.

— Do bani z takim interesem! — odezwał się znowu głos jakiś. — To im płacą, a my mamy pójść z kwitkiem?...

Z najważniejszą więc sprawą załatwiono się bardzo szczęśliwie. Maszyna prezydialna, której koła i kółka wysmarowano porządnie zlotem, funkcjonować będzie odąd należycie i prawdopodobnie nie zawiedzie, tu i ówdzie odezwą się nieraz może jakieś zgrzyty, ale trudno — idealnej konstrukcji maszyn autonomicznych dotąd jeszcze nie wynaleziono!...

Ileż to zajmuję się podwyższeniem czyjejs płacy, tyle razy myślę też i sam o sobie, niestety, dawno już nie byłem w tem przyjemnem położeniu, w jakim od pierwszego sierpnia b. r. znalazł się ekscellencya Leo. Ale i tak nie rozpaczam, gdyż widzę, że mogę zawsze liczyć na Czytelników, zwłaszcza na Czytelniczki, które mnie nie opuszczają w ciężkiej chwili, gdybym przypadkowo wlaź w takową... — Mam na to dowód, czarne na białem, w liście, w którym pewna osoba, wyrażając mi współczucie z powodu złamania ongiś parasola, ofiaruje mi nowy, honorowy egzemplarz, całkiem gratis i franco, z obowiązkiem tylko, bym sam się po niego zgłosił i zabrał go na własny koszt i niebezpieczeństwo.

Tego się właśnie boję! A nuż urządził w ten sposób na mnie zasadzkę któryś z mych przeciwników politycznych, bo i tych mam dosyć i zamiast z parasolem (tego się nie boję!) wyjdzie na me po witanie z łaską? To byłoby straszne i dlatego pod wskazanym adresem nie idę. Ofiarodawca lub dawczyni, jeśli ma wolną a nieprzymuszoną wolę, niechaj pod adresem Redakcyi raczy nadesłać obiecany dar z dopiskiem „dla kronikarza”. Wybór pozostawiam własnemu uznaniu ofiarujących, obiecuję natomiast wdzięczność, ile razy będzie deszcz padać.

Zwrócono także moją uwagę na tę okoliczność, że może to być również dobrze zamach jakiejś Putyfary na cnotliwego Józefa... Niestety, Józefem nie jestem i nigdy nim nie byłem, mam zresztą swą własną Putyfarę w osobie mej zacnej Weronisi i nie mam wcale zamiaru jej zmieniać. Po pierwsze, ona

by się na to nie zgodziła, po drugie, wie człowiek, co ma, nie wie zaś, co może dostać!

W każdym razie, jeśli owa obietnica „parasolowa” była konkretną, cieszy mnie i ten dowód uznania, za który, o ile będę mógł, postaram się kiedyś w jakiś sposób odwdziżyć.

Otrzymałem również listowne zaproszenie od jednej z Czytelniczek (tak przynajmniej wnoszę z charakteru pisma), bym zmienił projekt i zamiast na południe, jak zapowiadałem, wybrał się tam, gdzie ona pędzi smutne dni słomianego wdowieństwa. — Musiałem odmówić, gdyż do roli pocieszyciela wdów, zwłaszcza zaś słomianych (więc łatwo zapalnych), zupełnie się nie nadaję, ze względu zaś na zbliżający się koniec wakacji zrezygnowałem już z wyjazdu na letnie wywczasy. skoro to dotąd nie nastąpiło. Poeci chwałą wprowadzie piękną polską jesień, ale ona, podobnie jak i lato, nie może się obejść bez deszczu i błota, przyzna zaś każdy chyba, że czas dżdżysty wygodniej spędzać w mieście, gdzie są jakieś takie bruki, knajpki, cukiernie i kawiarnie, niż gdzieś w zapadłej Papiidówce, kędy nosa za drzwi wystawiać się nie oplat.

Pozatem na zmianę decyzji i pozostanie w Krakowie wpłynęła także i niepewność sytuacji, która rzekomo ciągle się wyjaśnia, ale naprawdę w żaden sposób wyjaśnić się nie może. Czytamy o różnych ofensywach na wschodzie, zachodzie i południu, aż głowa boli, gdy się śledzi skutek ognia przygotowawczego, zaporowego i huraganowego (pewien pan nazywa go „bębnowym”, sprawa bowiem podobno taki hałas, jak jego pociechy), ale, by z tego miało się wyciągnąć jakieś wnioski o końcu wojny i rychłym pokoju, o tem niema ani mowy. Anglik się wziął, Francuz się wziął, Moskal także, my i Niemcy... a jakże... znak więc, jeśliś mądry, jaką na to radę! Przedtem Grecya nas intrygowała, teraz Rumunia zabiła nam klina w głowę, bo ani rusz dowiedzieć się, czego się z tamtej strony spodziewać. Jest jednak w Krakowie pewien pan, który coś o tem mógłby powiedzieć, jest bowiem „dostawcą dworu rumuńskiego i greckiego”, jako taki więc powinien być o wszystkim poinformowany. Ale, niestety, nie chce ani pary puścić, a na każde zapytanie w tej materii odpowiada z uśmiechem wytrawnego dyplomaty:

— Bardzo żałuję, ale to tajemnica stanu! Mówić mi nie wolno!...

Skoro tak, pomyślałem sobie, to dam wogóle spokój polityce, a zajmę się czem innem, co nie tylko mnie, ale i innym może przynieść pożytek. Ponieważ czas kanikularny jeszcze się nie skończył, więc sensacyi w pismach naszych nie braknie, znalazłszy w kieszeni kilka jeszcze żelaznych nowych dwudziestohalerzówek, podążyłem do cukierni i kazałem sobie podać cały stos gazet, pewny, że przecież coś ciekawego upoluję.

I nie zawiodłem się, dowiedziałem się bowiem, że nie tylko ludzie narzekają na podwyższenie cen tego trunku, ale cierpią na tem i zwierzęta, mające też skłonność do używania, a nawet nadużywania alkoholu. Ale w tem chyba nic dziwnego. Znałem w jednej wsi galicyjskiej gospodarza, który zwał się Zajac i pijał codziennie kieliszek wódki, drugi natomiast, Sroka, wolał piwo...

Ale wracajmy do rzeczy. Z pomiędzy zwierząt-pijaków wylicza autor artykułu słonie, małpy, psy, niedźwiedzie, konie i tak dalej. Zwłaszcza słonie tak mają lubić sznapsika, iż czasem udają chorobę, aby tylko dostać porcyę tego ożywiającego trunku.

I toby to myślał, że nawet bydłeta są takie mądre!

Murzyni afrykańscy stawiają u wejścia do lasów palmowych beczulkę piwa (ale nie takiej lury, jaką dziś pijamy za drogie pieniądze!). Małpy wypijają jej zawartość i tracą możność odróżniania małpy od człowieka (i ludziom się to zdarza!). Mysłiwy bierze za łapę pierwszą z rzędu małpę, ta chwytą łapę drugiej, druga trzeciej i t. d. i mazurowym krokiem podążają do wsi, tu dostają się do klatki, a stąd do menażeryi. Prawdziwa sielanka, prawdopodobnie od niej pochodzi znane przysłowie „kupił sobie małpę”.

Ponadto doświadczyłem się z tego samego artykułu, iż konie piwowarów nowojorskich, nadużywając piwa, tyją bardzo szybko, dostają zatłuszczenia serca i giną na *delirium tremens*. Papugi lubią podobno szampana, a w stanie podniecenia alkoholem są niezwykle zmyślne i dowcipne, wrony są także skłonne do alkoholizmu.

Gdyby nie to, że artykuł ten wyszedł z pod pióra poważnego angielskiego przyrodnika, możnaby myśleć, że napisał go któryś z członków „Eleuteryi”, zwierzęta zaś, jak w bajce, zastępują tylko ludzi.